

NAPRAWDĘ NIE MOGLĄM SIĘ ODERWAĆ!

Tess Gerritsen

LISA GARDNER



ZŁAP MNIE

Zostały ci cztery dni życia.
Chcesz ocalić siebie
czy pogrożyć swojego zabójcę?

ALBATROS

AMERYKAŃSKA MISTRZYNI THRILLERA KRYMINALNEGO

Tytuł oryginału:
CATCH ME

Copyright © Lisa Gardner, Inc. 2014
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Monika Wiśniewska 2014, 2018, under exclusive license
to „Sonia Draga” Sp. z o.o., sublicensed to Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Projekt graficzny okładki: Justyna Nawrocka, Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcie na okładce: Elisabeth Ansley/Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

Prolog

DZIEWCZYNIKA OBUDZIŁA SIĘ TAK, jak została wyszkolona: szybko i bezszmerowo. Ostrożnie, bezgłośnie zaczerpnęła powietrza, przerywając na chwilę nocną ciszę. Jej wzrok padł na wymizerowaną twarz mamy.

– Cśśś – wyszeptała matka, kładąc palec na ustach. – Zbliżają się. Już czas, dziecko. Wstawaj.

Dziewczynka odrzuciła kołdrę i usiadła. Zimowa noc była chłodna i z każdym oddechem z ust dziewczynki wydobywały się widoczne w blasku księżyca obłoki pary. Była na to jednak przygotowana. Podobnie jak jej starsza siostra zawsze spała w ubraniu, wkładała kilka warstw koszulek, bluz i kurtek, bez względu na porę roku. Przecież w każdej chwili mogli pojawić się ONI i wypłoszyć swe ofiary z ciepłej kryjówki, zagnać na zdradzieckie otwarte tereny. Nieprzygotowane dzieci szybko ponosiły porażkę: obnażone, podatne na odwodnienie i strach.

Ale nie dziewczynka i jej siostra. One wszystko zaplanowały. Matka uczyła je sztuki przetrwania, od kiedy zaczęły chodzić.

Dziewczynka chwyciła leżący przy łóżku plecak. Zarzuciła go na plecy i wsunęła stopy w luźno zasznurowane sportowe buty. Podążyła za matką w stronę pogrążonej w ciemnościach klatki schodowej. Matka zatrzymała się przy najwyższych stopniach, położyła palec na ustach i wypatrywała czegoś w

mroku.

Dziewczynka przystanęła tuż za nią. Poszukała wzrokiem miejsca w głębi korytarza, gdzie zazwyczaj spała jej siostra. Dom był zbyt mały, by siostra miała własny pokój albo chociaż łóżko. Spała więc na ziemi, na płaszczu zamiast materaca i z plecakiem pod głową zamiast poduszki. Jak na dobrego żołnierza przystało, mawiała ich matka.

Jednak miejsce przy najdalszej ścianie było puste – ani śladu siostry, płaszcza czy podniszczonego plecaka. Całkiem już teraz obudzoną dziewczynkę zalała pierwsza fala strachu. Z trudem zwalczyła pragnienie zawołania siostry.

Matka była w tej kwestii stanowcza i dała jasne instrukcje: miały się nie martwić jedna o drugą, miały nie czekać na siebie nawzajem, tylko biec do lasu. Co sił w nogach. Spotkają się potem w ustalonym miejscu. Teraz najważniejsze to wydostać się z domu i uciekać.

A gdyby miało im się nie udać...

Matka mówiła im to wiele razy, ściągając mięśnie chudej, starej jak na swój wiek twarzy: trzeba być odważnym, wszyscy kiedyś umrzemy.

Matka zeszła jeden stopień w dół. Trzymała się prawej strony, bo tam deski mniej skrzypiały. Za duży wełniany płaszczyk plątał się wokół jej nóg, jak czarny kot ocierający się pieszczotliwie o kostki.

Dziewczynka podążała za nią, uważnie stawiając kolejne kroki, nasłuchując odgłosów z tonącego w ciemnościach parteru. Ich malutki piętrowy domek stanowił kiedyś część dużego gospodarstwa rolnego. Stał na skraju lasu, z dala od miasta, z którym łączyła go długa, ciągnąca się przez brunatne połacie ziemi polna droga. Nie miały korzeni wśród lokalnej społeczności, nie utrzymywały kontaktów z sąsiadami.

Dziewczynka cały swój dobytek miała na plecach. Ubranie, butelkę wody, suszone owoce i migdały, podniszczoną powieść

Nancy Drew, którą kupiła kiedyś za dziesięć centów na garażowej wyprzedaży, kryształ kwarcu znaleziony dwa lata wcześniej przy innej drodze, w innym mieście, w którym matka też obudziła ją i jej siostrę w środku nocy, w mieście, którego nigdy więcej nie zobaczyły.

Może inne dzieci miały zabawki. Zwierzątka. Telewizory. Komputery. Szkołę. Przyjaciół.

Dziewczynka miała swój plecak, starszą siostrę, mamę i to.

Matka zeszła na parter. Uniosła rękę i dziewczynka przystanęła bez słowa. Do jej uszu wciąż nie dochodziły żadne hałasy, wpatrywała się w srebrzyste tumany kurzu tańczące wokół kozaków na nogach matki.

Nagle dziewczynka usłyszała jakiś dźwięk. Stukot, a po nim dwa uderzenia. Jakby stary piec odkrył chłód i zaczął budzić się do życia. Po chwili walenie ustało i znów zapanowała nocna cisza. Dziewczynka rozglądała się. Nadstawiała uszu. Nie dostrzegła żadnego zagrożenia i spojrzała z powagą na bladą twarz matki.

Czasami dziewczynka wiedziała, że nie uciekają w środku nocy z powodu jakichś domniemyanych złoczyńców czy bezimiennego zagrożenia czyhającego w cieniu.

Czasami opuszczały dom, bo ciągle ucieczki nie zostawiały wiele czasu na pracę, tym samym nie zapewniały pieniędzy, by zapłacić za czynsz, ogrzewanie czy jedzenie. ONI mieli swoje metody, a głód, zimno i zmęczenie, którymi nękali ich rodzinę, były najbardziej skuteczne.

Na tym etapie swojego życia dziewczynka potrafiła przemykać bezszelestnie po domu niczym cień, przebijając wzrokiem ciemności nie gorzej niż kot. Tyle że mogło jej przecież zaburzyć w brzuchu, mogła zacząć dygotać. Ostatecznie to głód, wyziębienie i zmęczenie mogły wydać jej rodzinę.

Matka jakby czytała w jej myślach. Odwróciła się i chwyciła

ją za rękę.

– Trzeba być odważnym... – wyszeptwała.

Jej głos załamał się. Tak rzadka, nieoczekiwana jawność emocji wystraszyła dziewczynkę stokroć bardziej niż ciemność, chłód czy pogrążony w ciszy dom. Ścisnęła dłoń matki równie mocno, jak ta ścisnęła jej, zdając sobie sprawę, że to nie ćwiczenia. Nie tym razem. Niczego nie zaplanowały.

Coś się wydarzyło.

Znaleźli je. To działa się naprawdę.

Matka się poruszyła. Pociągnęła dziewczynkę w stronę maleńkiej kuchni, której obrzeża skąpane były w wąskich promieniach księżycy wpadających do środka przez rząd dużych okien.

Dziewczynka nie chciała iść dalej. Chciała zaprotestować. Powstrzymać szaleństwo. Uciec na górę, wskoczyć na łóżko i zakopać się głęboko pod kołdrą.

Albo wybiec na zewnątrz. Uciec od tego domu, od napięcia, od pooranej zmarszczkami twarzy matki. Mogłaby pobiec do tego białego domku po drugiej stronie lasu. Mieszkał tam mały chłopiec. Podglądała go czasem z górnej gałęzi rozłożystego dębu. Dwa razy przyłapała go na tym, że i on jej się przygląda zamyślony. Jednak nigdy nie odezwała się słowem. Grzeczne dziewczynki nie rozmawiają z chłopcami. Żołnierze nie bratają się z wrogami.

SisSis. Potrzebowała starszej siostry. Gdzie jest SisSis?

– Wszyscy kiedyś umrzemy – mamrotała pod nosem matka. Doszła na środek kuchni i raptownie się zatrzymała. Przyglądała się najwyraźniej księżycowi, być może nasłuchiwała jakichś odgłosów świadczących o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

Dziewczynka odezwała się po raz pierwszy:

– Mamusiu...

– Cśśś, dziecko! Mogą być na zewnątrz. Nie pomyślałaś

o tym? Tu. Zaraz za oknem. Przytuleni do ściany, nasłuchując kroków. Wygłodniali i podnieceni tym, co za chwilę nam zrobią.

– Mamusiu...

– Powinniśmy puścić to z dymem. Podpalić ścianę. Słuchać, jak wyją z wściekłości, patrzeć, jak wiją się z bólu.

Matka odwróciła się gwałtownie w stronę okna. Na jej twarz padły promienie księżyca, oświetlając ciemną przepaść szeroko otwartych oczu. Wtedy się uśmiechnęła.

Dziewczynka cofnęła się, próbując uwolnić rękę z dłoni matki, ale było za późno. Matka zdążyła chwycić ją mocno za nadgarstek. I nie zamierzała puszczać. Szykowała się do czegoś strasznego. Czegoś makabrycznego. Czegoś, co miało być wymierzone w NICH, jednak ostatecznie zawsze dotykało dziewczynkę i jej starszą siostrę.

– Mamusiu – spróbowała raz jeszcze, wypatrując w czeluściach matczynych oczu jakichś śladów bliskości.

– Zapałki! – krzyknęła matka. Już nie ściszała głosu, grzmiała teraz na cały dom głosem niemal radosnym. Jakby były na przyjęciu urodzinowym, jakby zapalały właśnie świeczki na torcie. Cóż za udana impreza! Jakaż cudowna przygoda!

Dziewczynka zakwiliła. Z pomocą drugiej ręki gorączkowo próbowała wyrwać nadgarstek.

Nadaremnie. W chwilach takich jak ta palce matki wbijały się w ciało niczym szpony, napięte mięśnie trzymały, jakby były ze stali, a siła, którą emanowały, nie dawała szans.

Matka z impetem otworzyła pierwszą z szafek. Lewą ręką wciąż ściskając nadgarstek córki, prawą zaczęła przekopywać zawartość szafki. Na łuszczące się linoleum spadł deszcz błyszczących plastikowych sztuców. Na podłodze wylądowały też saszetki z keczupem, musztardą i dołączane do gotowych dań opakowania z grzankami, które dziewczynka wykradała nocą z kuchni, bo jej matka wierzyła, że głód hartuje, podczas gdy dziewczynkę przyprawiał jedynie o ból brzucha, i dlatego

wcinała grzanki i wysysała keczup z saszetek, a potem napychała kieszenie musztardą dla siostry, która też umierała z głodu, nie potrafiła jednak tak bezszelestnie poruszać się po domu.

Sos sojowy. Pałeczki. Chusteczki papierowe. Chusteczki nawilżane. Matka szaleńczo plądrowała szafkę za szafką, ani na moment nie puszczając dziewczynki.

– Mamusiu. Proszę, mamusiu.

– Ta-da!

– Mamusiu!

– Będą miały skurwysyny nauczkę! – Matka chwyciła opakowanie zapalek. Błyszczący srebrny kartonik z czarną draską.

– Mamusiu – dziewczynka podjęła ostatnią desperacką próbę – drzwi wejściowe. Możemy uciec drzwiami wejściowymi. Do lasu. Jesteśmy szybkie, uda się nam.

– Nie – oznajmiła matka z nabożnością w głosie. – Właśnie na to czekają. Na zewnątrz jest zapewne trójka, szóstka, może dwunastka ludzi. Nie ma rady. Podpalimy zasłony. Gdy tylko zajmie się ściana, wezmą nogi za pas. Pieprzone tchórze.

– Christine! – Dziewczynka zniżyła głos, zmieniając taktykę. Stanęła na palcach, wyprostowała się i wyciągnęła w górę na tyle, na ile pozwolił jej kręgosłup sześciolatki. – Christine. Przestań! To nie czas na zabawy zapalnikami!

Na chwilę uwierzyła, że może się udać. Matka zamrugała, a jej twarz jakby straciła odrobinę nienaturalnego blasku. Prawa ręka zawisła bezwładnie. Kobieta z uwagą wpatrywała się w córkę.

– W piecu wygasło – ciągnęła śmiało dziewczynka – ale już się tym zajęłam. Wracaj do łóżka. Wszystko już dobrze. Idź do łóżka.

Matka dalej się na nią gapiła. Wyglądała na zagubioną. Zagubiona to i tak lepsze niż szalona. Dziewczynka wstrzymała oddech, uniosła podbródek, wyprostowała ramiona.

Nic nie wiedziała o NICH. Tak naprawdę całe swoje dziecięce życie przygotowywały się z siostrą, planowały i opracowywały strategię, by przetrwać z własną matką. Czasem musiały się poddać, a czasem przejąć kontrolę. Zanim matka posunie się za daleko. Zanim ucieczka będzie naprawdę jedynym sposobem na ujście z życiem. Zanim matka dopuści się niewyobrażalnych czynów, by pokonać zamieszkujące jej głowę demony.

Kiedys dziewczynka miewała koszmary. W snach prześladował ją płacz niemowlęcia. Jej mama, wtedy pulchniejsza, łagodniejsza, delikatniejsza, przychodziła ją utulić. Gładziła włosy dziewczynki i smutnym, melodyjnym głosem śpiewała o zielonej trawie, słonecznym niebie i odległych miejscach, gdzie małe dziewczynki śpią nocą z pełnymi brzuskami w swoich dużych, miękkich łóżeczkach.

W takich chwilach dziewczynka kochała mamę. Czasem nawet żałowała, że nie ma złych snów, gdy tęskniła za matczynym śpiewem i delikatnością, z jaką ta głaskała jej włosy opuszkami palców.

Dziś już ani dziewczynka, ani jej starsza siostra nie miewały koszmarów. Koszmarem stało się ich życie.

Chłopczyk z lasu. Może gdyby pociągnęła mocniej, wyrwała się z uścisku matki, gdyby pobiegła co sił w nogach...

Wyprostowała się. Tak naprawdę wcale nie wierzyła, że chłopczyk ją ocali. Ani teraz, ani nigdy.

– Christine, do łóżka! – rozkazała matce.

Ta ani drgnęła. Puściła dłoń córki, jednak w prawej ręce w dalszym ciągu trzymała zapalki.

– Przykro mi, Abby – powiedziała.

Głos dziewczynki złagodniał.

– Za późno. – Matka wciąż stała nieruchomo. Mówiła teraz cicho, ze smutkiem w głosie. – Nie wiesz, co zrobiłam.

– Mamusiu...

– Musiałam. Pewnego dnia zrozumiesz, dziecko. Musiałam.

– Mamusiu...

Dziewczynka wyciągnęła rękę. Za późno. Matka już ruszyła w stronę żółtych zasłon. Zdążyła otworzyć kartonik i wydobyć pierwszą zapalnik.

– Nie, nie, nie! – krzyknęła dziewczynka uczipiona jej grubego płaszcza. Ciągnęła co sił z nadzieją, że uda jej się przewrócić matkę.

Ich walka przypominała osobliwy taniec w blasku księżyca, piruety dygoczących długich cieni. Matka była jednak większa, szybsza, silniejsza. Napędzało ją szaleństwo, podczas gdy jedyne atutem dziewczynki była desperacja.

Pierwsza zapalnik wyrwała się z kartonowego więzienia, obudziła się do życia i rozświetliła ciemności cudnym pomarańczowym płomieniem.

Matka przystanęła, podziwiając widok.

– Piękne, prawda? – wyszeptała.

A potem rzuciła zapalnik w rozkołysane zasłony. W tym samym momencie z ciemności salonu wyłoniła się starsza siostra dziewczynki i mosiężną lampą uderzyła matkę w potylicę.

Matka upadła. Podniosła głowę. SisSis uderzyła ponownie, tym razem w lewą skroń. Matka zwała się na podłogę jak kłoda.

Stara lampą upadła na linoleum w chwili, gdy zasłona z cichym sykiem zajęła się ogniem.

Dziewczynka dopadła do niej pierwsza. Gołymi rękami uderzała płonące fałdy, próbując zdusić ogień o brudną ścianę. Nacierała tak długo, póki trzask nie ucichł, płomienie nie zgasły, a dłonie nie zaczęły palić żywym ogniem.

Z trudem łapiąc powietrze, odwróciła się wreszcie do siostry. Dzieliło je leżące na podłodze ciało matki. Dziewczynka podniosła głowę i spojrzała na SisSis. Starsza siostra schyliła głowę i popatrzyła na nią.

– Gdzie byłeś? – spytała dziewczynka.

SisSis milczała, a ona po raz pierwszy zauważyła coś jeszcze. Że siostra uważnie wpatruje się w swój lewy bok, że szary nylon jej zimowej kurtki nasiąka brunatną cieczą.

– SisSis?

Starsza siostra chwyciła się za bok i kurczowo zacisnęła dłoń. Gdy rozpostarła palce, buchnęła spomiędzy nich czarna lawa, kradnąc z pokoju cały księżycowy blask.

Dziewczynka zrozumiała, dlaczego siostra nie spotkała się z nią na górze. Ponieważ matka obudziła ją pierwszą. Sprowadziła na dół. I to jej pierwszej zrobiła to, co kazały jej głosy.

Dziewczynka nie mówiła już nic. Wyciągnęła rękę. Siostra ujęła jej dłoń, zachwiała się i upadła na kolana. Dziewczynka przykucnęła obok na brudnym linoleum. Trzymały się za ręce nad nieruchomym ciałem matki. Ile to razy zakradały się do kuchni w poszukiwaniu jedzenia lub żeby ukryć się przed matką, albo zwyczajnie pobyc razem, bo przecież na wojnie każdy potrzebuje sojusznika.

Dziewczynka nie była głupia. Wiedziała, że matka krzywdziła SisSis częściej i boleśniej. Wiedziała, że siostra się na to godziła, bo gdy matka wpadała w ten swój nastrój, ktoś musiał zapłacić. SisSis niczym dobry żołnierz chroniła młodszą siostrę.

– Przepraszam – wyszeptała teraz, zamykając w tym jednym słowie cały żal i wyrzuty sumienia.

– Proszę, SisSis, proszę – błagała dziewczynka. – Nie zostawiaj mnie... Zadzwoń pod alarmowy. Ściągnę pomoc. Tylko czekaj. Poczekaj na mnie.

Siostra w odpowiedzi ścisnęła mocniej dłoń dziewczynki.

– Już dobrze. – Jej oddech stawał się świszczący. – Przecież wszyscy kiedyś umrzemy, prawda? Bądź odważna. Kocham cię. Bądź odważna...

Siostra zwolniła uścisk. Jej ręka opadła na podłogę, a dziewczynka rzuciła się do telefonu i wykręciła 911, tak jak

uczyła ją SisSis, bo przecież obie wiedziały, że pewnego dnia sprawy tak się mogą potoczyć. Nie przypuszczały jedynie, że stanie się to tak szybko.

Dziewczynka wyrecytowała imię i nazwisko matki oraz adres. Zażądała karetki. Mówiła wyraźnie głosem wyzutyk z emocji, bo to też wielokrotnie ćwiczyła. Razem z siostrą przygotowywały się, planowały, opracowywały strategię.

Matka nie była do końca szalona. Co do jednego miała rację: wszyscy kiedyś umrzemy, a śmierci trzeba stawieć czoło z odwagą.

Zadanie wykonane, dziewczynka wypuściła z dłoni słuchawkę telefonu i pognęła do siostry. Jednak gdy do niej wróciła, siostra już jej nie potrzebowała. Oczy miała zamknięte i dziewczynka nie mogła zrobić nic, by ponownie je otworzyła.

Matka poruszyła się na podłodze.

Dziewczynka spojrzała najpierw na nią, a potem na stary mosiężny stojak do lampy.

Chudymi rękami, z wysiłkiem podniosła ciężki przedmiot, przyglądając się srebrnym promieniom księżyca tańczącym po przykurzonej powierzchni.

Matka jęknęła – zaczynała odzyskiwać przytomność.

Dziewczynka pomyślała o kołysankach i zapalkach, przypomniała sobie czułe uściski i głodne noce. Przed oczami stanęła jej starsza siostra, która szczerze ją kochała. A potem chwyciła za górną część stojaka, stanęła nad ciałem matki i uniosła go.

Rozdział 1

NAZYWAM SIĘ CHARLENE ROSALIND Carter Grant.

Mieszkam w Bostonie, pracuję w Bostonie i za cztery dni najprawdopodobniej tu umrę.

Mam dwadzieścia osiem lat.

I jeszcze nie mam ochoty umierać.

WSZYSTKO ZACZĘŁO SIĘ PRZED dwoma laty od morderstwa mojej najlepszej przyjaciółki, Randi Menke w Providence. Została uduszona we własnym salonie. Policjanci z Rhode Island nie znaleźli żadnych śladów walki ani włamania. Przez chwilę podejrzewali jej byłego męża. Musieli mieć doniesienia o przemocy domowej. Nie żeby Randi kiedykolwiek się pożałowała albo naszej wspólnej przyjaciółce Jackie. Pocieszałyśmy się tym z Jackie, łkając na pogrzebie Randi. Przecież o niczym nie wiedziałyśmy. O niczym nie wiedziałyśmy, bo gdyby było inaczej, zrobiłybyśmy... coś. Cokolwiek.

Tak przynajmniej tłumaczyłyśmy się przed sobą.

Szybki przeskok o dwanaście miesięcy. Jest dwudziesty pierwszy stycznia. Rocznicą. Siedzę w domu z ciotką Nancy, w górach, na północy New Hampshire. Jackie wróciła w korporacyjne szeregi Coca-Coli, gdzie pracuje jako zastępczyni

prezesa oddziału w Atlancie. Nie chce obchodzić rocznicy śmierci Randi. Twierdzi, że to byłoby chore. Może latem się spotkamy i uczymy urodziny Randi. Może wejdziemy na szczyt Góry Waszyngtona, zabierzemy butelkę whisky. Najpierw się upijemy, potem sobie popłaczymy, wreszcie odeśpiemy wszystko w schronisku nad Jeziorem Chmur.

I tak dzwonię do Jackie dwudziestego pierwszego. Nie mogę się powstrzymać. Tyle że ona nie podnosi słuchawki. Nie odbiera ani telefonu stacjonarnego, ani służbowego, ani komórki. Żadnego.

Nazajutrz rano, gdy nie pojawia się w pracy, policjanci wreszcie ulegają moim błaganiom i jadą do jej domu.

Żadnych śladów walki, czytam później w policyjnym raporcie. Żadnych śladów włamania. Tylko samotna kobieta uduszona dwudziestego pierwszego stycznia we własnym domu.

DWIE NAJLEPSZE PRZYJACIÓŁKI, KTÓRE dzieliło prawie dwa tysiące kilometrów, zamordowane dokładnie rok po roku.

Policja wszczęła śledztwo. Nawet FBI rzuciło okiem na sprawę. Nie znaleźli żadnych jednoznacznych dowodów na to, że coś łączy oba zabójstwa, może dlatego, że generalnie nie znaleźli żadnych jednoznacznych dowodów.

Pech, powiedział nawet jeden z funkcjonariuszy. Paskudny pech.

Dziś mamy siedemnasty stycznia roku następnego.

Jak myślicie, czy ja też będę miała pecha dwudziestego pierwszego? Co byście zrobili na moim miejscu?

POZNAŁAM RANDI I JACKIE, kiedy miałam osiem lat. Po wydarzeniach pewnej fatalnej nocy zamieszkałam z ciotką Nancy w dzikich ostępach New Hampshire. Zobaczyłam

ciotkę po raz pierwszy w życiu, dopiero gdy przyjechała po mnie do szpitala. Bliskie krewne, a jednocześnie zupełnie obce sobie osoby. Ciozia Nancy na mój widok wybuchła płaczem.

– Nie miałam pojęcia – powiedziała pierwszego dnia. – Uwierz mi, dziecko, nie miałam pojęcia. Inaczej już dawno bym cię zabrała.

Nie rozpłakałam się. Nie widziałam sensu we łzach, zresztą nawet nie byłam pewna, czy jej wierzę. Skoro kazali mi zamieszkać z tą kobietą, zamieszkam z nią. W końcu nie miałam wielkiego wyboru.

Ciotka Nancy prowadziła pensjonat w urokliwym miasteczku w Mount Washington Valley, które dobrze sytuowani mieszkańcy Bostonu czy Nowego Jorku lubili odwiedzać, by zimą zakosztować białego szaleństwa, latem wspinaczki, a jesienią podziwiać malownicze krajobrazy. Ciotka zatrudniała dorywczo tylko jednego pracownika, osobiście witała więc gości, sprzątała pokoje, parzyła herbatę, przygotowywała śniadania, udzielała wskazówek, jak i gdzie dojechać, i zajmowała się milionem innych drobniejszych spraw, które wszystkie razem składały się na definicję słowa „gościnność”. Kiedy z nią zamieszkałam, przejęłam ścieranie kurzów i odkurzanie. Potrafiłam całymi godzinami sprzątać. Uwielbiałam zapach środka czyszczącego Pine-Sol. Uwielbiałam dotykać świeżo wypolerowanego drewna. Uwielbiałam to, że mogłam czyścić podłogę i czyścić, a ona za każdym razem wyglądała jak nowa.

Sprzątanie dawało mi poczucie kontroli. Sprzątanie trzymało demony na dystans.

Pierwszego dnia szkoły ciotka odprowadziła mnie na miejsce. Dostałam z tej okazji nowiutkie ubranie i czarne lakierki, które przez kolejne pół roku obsesyjnie polerowałam. Nie czułam się dobrze. Ciuchy były po oczach nowością.

Ciągle jeszcze nie przywykłam do wiejskiego zgiełku i

gwaru. Do sąsiadów spotykanych na każdym kroku. Do ludzi, którzy nawiązują kontakt wzrokowy i pozdrawiają cię uśmiechem.

– Serwis do herbaty zaśniedział – poinformowałam ciotkę, gdy od mojej nowej szkoły dzieliła nas przecznicza. – Wróć do domu i go wypoleruję.

– Zabawna z ciebie dziewczynka, Charlene.

Przystanęłam. Moja ręka instynktownie powędrowała do boku, a dłoń zaczęła pocierać bliznę, która wciąż jeszcze czasem dawała o sobie znać. Miałam ich znacznie więcej, oplatały moje ciało niczym pajęczyna: stare rany na wewnętrznej stronie lewej ręki, paskudna szrama na prawym łokciu, ślady po przypaleniu na prawej łydce. Byłam niemal pewna, że inne dzieci nie są naznaczone w ten sposób. Że matki nie „kochały” ich równie mocno jak mnie moja.

– Nie chcę tam iść.

Ciotka się zatrzymała.

– Charlie, czas iść do szkoły. Masz pewnym krokiem przekroczyć ten próg. Masz trzymać głowę wysoko. Chcę, żebyś wiedziała, że jesteś najodważniejszą i najtwardszą dziewczynką, jaką znam, i w niczym nie jesteś gorsza od pozostałych dzieci. Słyszysz? W niczym nie jesteś gorsza od pozostałych dzieci.

Zrobiłam więc, jak ciocia kazała. Weszłam do środka pewnym krokiem. Głowę uniosłam wysoko. Wśliznęłam się do ławki na tyłach sali. Dziewczynka po lewej odwróciła się do mnie i przedstawiła się: „Cześć, jestem Jackie”. Dziewczynka po prawej odwróciła się do mnie i przedstawiła się: „Cześć, jestem Randi”.

I tak zwyczajnie zostałyśmy przyjaciółkami.

ALE NIGDY NIE OPOWIEDZIAŁAM im swojej historii.

Wiecie, jak to jest, prawda?

Gdy czasem nawet najlepszej przyjaciółce, bratniej duszy, która śmieje się z tobą i płacze, i zna wszystkie szczegóły pierwszego młodzieńczego zauroczenia i pierwszego miłosnego zawodu, nie możesz opowiedzieć wszystkiego.

Nawet najlepsze przyjaciółki miewają swoje sekrety.

Mówię to wam ja, jedyna ocalała, która przez ostatnie dwa lata w bolesny sposób poznała siłę tych sekretów.

DORASTAŁYŚMY W OSTATNICH DNIACH prawdziwego dzieciństwa. Latem biegałyśmy po lasach, budowałyśmy domki na drzewach i urządałyśmy przyjęcia z zupełną żółdziejową i szyszkowymi deserami. Puszczaliśmy łódki z liści na rwących potokach. Odkrywałyśmy miejsca, gdzie można popływać. Łączyłyśmy puszki po zipie kablem i udawałyśmy, że to telefony.

Latem pomagałam ciotce rano i wieczorem. Popołudnia należały do mnie i spędzałam je z przyjaciółkami. Jackie już wtedy była urodzonym organizatorem. Nasze zabawy planowała w najdrobniejszych szczegółach; pewnie przygotowywałaby plan marketingowy i prognozy, gdybyśmy jej tylko pozwoliły. Randi była cichsza. Miała przepiękne włosy w kolorze pszenicy, które zakładała za uszy. Najbardziej lubiła budować domki w lesie i przy jej niesamowitym zmyśle artystycznym wystarczyło kilka jagód i garść liści, by z gnijących gałęzi i konarów wyczarować przytulne gniazdko.

Poleciłam przyjaciółkę i jej niezwykle umiejętności ciotce Nancy i od tamtej pory Randi pomagała w weekendy w pensjonacie. Rozwieszała ozdoby świąteczne, dekorowała salon i stoły w jadalni. Wraz z nią przychodziła Jackie. To ona podpięła komputer ciotki do sieci i w odpowiednim czasie zaznajomiła ją z internetem.

Nie miałam ani smykałki Jackie, ani talentu Randi.

Myślałam o sobie jak o spoiwie scalającym naszą trójkę. Robiłam wszystko to, co one chciały robić. Dzieliłam każdą ich pasję. Od małego musiałam się dostosowywać i byłam w tym naprawdę dobra.

Nigdy mi to nie przeszkadzało. Kochałam je. Kiedyś dorastałam w ciemnościach i w górach New Hampshire wreszcie odnalazłam światło. Randi i Jackie się śmiały. Pytały mnie o zdanie, chwaliły, witały mnie uśmiechami.

Było mi wszystko jedno, co robiłyśmy. Pod warunkiem że robiłyśmy to razem.

Tak to już jest, że dzieci z małych miasteczek marzą o życiu w wielkim mieście. Jackie odliczała dni do matury. Miała dosyć wścibskich sąsiadów, wiejskiego domu kultury i poczty, która była głównym siedliskiem plotek. Chciała się dostać na studia w Bostonie i zakosztować wielkomiejskiego splendoru.

Randi ubiegła ją, cicho i niepostrzeżenie, jak to miała w zwyczaju. Pewnego śnieżnego styczniowego dnia poznała na stoku studenta medycyny Uniwersytetu Browna. Skończyłyśmy szkołę w czerwcu, a pierwszego lipca Randi była już mężatką i pakowała swoje dzieciństwo do czterech kartonów, by wyruszyć do Providence i resztę życia spędzić jako pani doktorowa.

Jackie dostała stypendium. Nim nadszedł wrzesień, już jej nie było, a ja po raz pierwszy od lat nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Szorowałam, piaskowałam i cyklinowałam drewniane podłogi ciotki. Czyściłam parą zasłony. Myłam meble. Zaczęłam ustawiać regały z książkami.

Pod koniec września ciotka Nancy wzięła mnie za rękę i powiedziała stanowczym tonem:

– Jedź. Rozwiń skrzydła, a gdy będziesz gotowa, wróc do mnie, do domu.

Wylądowałam w Arvadzie, w stanie Kolorado. Pojechałam za facetem, za którym nie powinnam była jechać. Robiłam rzeczy, o których ciotka nigdy nie powinna się dowiedzieć. W

bolesny sposób przekonałam się, że nie zawsze warto się do kogoś dostosowywać. Prędzej czy później trzeba zacząć żyć po swojemu, nawet bez ukochanej ciotki i dwóch najlepszych przyjaciółek, które posłużyłyby ci radą.

Po zerwaniu, zdecydowana nie wracać do domu z podkulonym ogonem, złożyłam podanie o pracę dyspozytora w Centrum Powiadamiania Ratunkowego. Co mnie skusiło? Nie wymagali studiów, jedynie sprawnego pisania na komputerze i zdolności szybkiego reagowania, a skoro były to właściwie moje jedyne umiejętności, postanowiłam spróbować. Za trzydzieści tysięcy dolarów rocznie pracowałam całe dnie, rezygnując zupełnie z życia towarzyskiego, ale wreszcie odkryłam prawdziwe powołanie.

Pracowałam w centrum operacyjnym wyposażonym w dwadzieścia dwie linie telefoniczne i cztery radia, za pomocą których przyjmowano dwieście tysięcy wezwań rocznie. Prośby o interwencję policji, straży pożarnej, lekarza czy hycła – wszystkie trafiały do nas. W przypadku niektórych wystarczyło przekazać sprawę do pogotowia lub straży, jednak z całą resztą musieliśmy radzić sobie sami, a były to sytuacje wymagające działań policji, telefony od dowcipnisiów, od osób, które nie potrafiły się wysłować albo wpadły w panikę lub histerię.

Podczas jednej ze zmian kolega dyspozytor uratował życie kobiecie, każąc jej krzyczeć co sił w płucach, czym wystraszyła włamywaczy. Inny kolega odebrał telefon od ciężko rannej nastolatki, którą potrącił samochód. Dziewczyna zmarła przed przyjazdem policji, ale jej zeznanie zostało nagrane i posłużyło za dowód, dzięki któremu kierowca trafił za kratki. Płakałam z ludźmi. Krzyczałam z nimi. Kiedyś nawet śpiewałam kołysanki pięciolatkowi, który schował się w szafie. Za jej drzwiami rodzice obrzucali się obelgami przy akompaniamencie tłuczonego szkła.

Nie wiem, jak się skończyła sprawa chłopca. Czasem o nim

myślę. Więcej, niż powinnam.

I dlatego po sześciu latach opuściłam Arvadę i wróciłam w góry New Hampshire. Straciłam na wadze. Chyba nie wyglądałam najlepiej.

– Och – westchnęła ciotka, gdy wysiadłam z samolotu. – Charlene Rosalind Carter Grant.

Przytuliła mnie. Stałam tak na środku lotniska, a łzy same spływały mi po policzkach.

Ciocia miała rację: musiałam wyjechać, by prawdziwie cieszyć się z powrotu. Z rozrzewnieniem powitałam góry, sąsiadów, znajomych, ludzi, którzy patrzyli mi w oczy z uśmiechem. I tak jak ciocia Nancy stała się moją rodziną, tak to małe miasteczko stało się wreszcie moim domem.

Wcale nie chciałam więcej wyjeżdżać. Ktoś miał jednak względem mnie zupełnie inne plany.

NA POGRZEBIE RANDI NIE czułam zagrożenia. Wprawdzie moja przyjaciółka z dzieciństwa została zamordowana, ale im bardziej klarował się obraz jej byłego męża – porywczego, skłonnego do przemocy, lubiącego zaglądać do kieliszka drania – tym mocniej utwierdzałyśmy się z Jackie w przekonaniu, że znamy sprawcę. To, że policja nic na niego nie ma, nie znaczy, że łądak tego nie zrobił. W końcu kto jak kto, ale lekarz zna na tyle podstawy medycyny sądowej, żeby umiejętnie zatrzeć za sobą ślady. Do tego Randi była łatwowierna. Zapewne wpuściła byłego męża wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Przez jakiś czas pomagałam detektywom z Providence w śledztwie. Jackie załatwiła prywatną konsultację specjalisty z Oregonu, jakiegoś emerytowanego agenta FBI. Nic to, niestety, nie dało.

A potem, rok później, Jackie... Jackie, która mieszkała w samym sercu Atlanty, twarda korporacyjna wyjadaczka, do

tego, wydawać by się mogło, uprzedzona w pewien sposób o grożącym jej niebezpieczeństwie. Kogo mogła wpuścić do domu tamtego wieczoru? Komu dała się tak po prostu udusić, nie podjąwszy nawet próby obrony?

Z całą pewnością nie byłemu mężowi Randi.

A to każe się zastanowić, czy zabójcą Randi był rzeczywiście jej eksmąż. A może ktoś zupełnie inny?

Ktoś, kto znał i ją, i Jackie. Ktoś bliski. Ktoś, komu ufały.

Ktoś, kto z założenia musiał więc znać i mnie, skoro przez dziesięć lat funkcjonowałyśmy w naszym miasteczku jako trio: Randi Jackie Charlie. Trzy muszkietierki. Jedna za wszystkie, wszystkie za jedną.

Czy to, że dwie z nas nie żyją, oznacza, że teraz kolej na mnie?

Tym razem na pogrzebie nie uroniłam ani jednej łzy. Stałam przy trumnie z drewna wiśniowego, przeczesując wzrokiem tłum zgromadzony w małej, lecz urządzonej z przepychem wiktoriańskiej kapliczce. Przyglądałam się twarzom pogrążonych w żałobie sąsiadów, znajomych, przyjaciół.

Zastanawiałam się, czy tuż obok mnie stoi ktoś, kto już zaczął odliczać dni, które zostały do kolejnego dwudziestego pierwszego stycznia. Tylko dlaczego? I jak? I kto? Tyle pytań. Mam trzysta sześćdziesiąt dni, by znaleźć odpowiedzi.

Opuściliśmy cmentarz o dziewiątej wieczorem. Kwadrans później siedziałam już w samochodzie. W bagażniku leżała pełna walizka, na policzku wciąż czułam chłód po pożegnalnym pocałunku cioci Nancy.

Pojechałam do Bostonu. Pozbyłam się samochodu i komórki. Odciełam się od cioci, ludzi, wśród których dorastałam, gór, porzucając tym samym jedyną szansę na normalne życie. Miej nadzieję na najlepsze, ale przygotuj się na najgorsze, nie tak mówią?

Wzięłam sobie te słowa do serca. Mam nadzieję, że policja zabierze się do roboty i złapie drania, który zamordował moje

dwie najlepsze przyjaciółki. Niemniej jednak przygotowuję się do nadchodzącego dwudziestego pierwszego stycznia, kiedy to około godziny dwudziestej, przynajmniej według policyjnych raportów, ktoś może zapukać do moich drzwi. Bo kiedyś byliśmy we trzy: Randi Jackie Charlie, potem we dwie: Jackie Charlie, potem została tylko Charlie. A wkrótce może nie być śladu po żadnej z nas.

Nie mam przyjaciół. Nie wchodzę w żadne bliższe relacje. Mieszkam w Cambridge, gdzie wynajmuję pokój od owdowiałej emerytki, której nie starczało na czynsz. Jestem dyspozytorem liczącego trzydziestu funkcjonariuszy posterunku na obrzeżach Bostonu. Pracuję w pojedynkę na nocnej zmianie. W nocy pracuję, rano śpię.

Biegam cztery razy w tygodniu po siedem kilometrów. Chodzę na szkolenie strzeleckie. Boksuję. Podnoszę ciężary. Przygotowuję się, planuję, obmyślam strategię.

Jestem przekonana, że za cztery dni ktoś będzie próbował mnie zabić.

Jednak najpierw skurwysyn będzie mnie musiał złapać

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).